



V S



K.P. 27.03.14

Mateusz Aleksandrowicz "W tym mieście nie ma syren"

Fahrenheit Crew

Ryk potwora i krzyki mordowanych rozbrzmiewały tylko kilka krótkich chwil. Zanim ktokolwiek zdążył się przeżegnać i oddać w bożą opiekę, było po wszystkim. Zapadła cisza. Niezwykła, nienaturalna. Spowiła oba brzegi Wistli i otuliła leżącą nieopodal, na skarpie, Warszawę.

Stojący na wałach obronnych starzec charknął, smarknął i splunął w dół, poza obręb umocnień. Spojrzał na swojego młodocianego towarzysza i rzekł:

- To zemsta krzyżowców. Za te sądy, co tu były, chłopcze. Te z czasów króla Kazimierza. Pokrzywdzeni szpitalnicy postanowili ułożyć się z Belzebubem i zesłali wam tę maskarę... Tę syrenę - dodał z wyraźnym niesmakiem.

Sposób, w jaki stary mężczyzna wypowiadał kolejne zdania, zdradzał, że nie pochodzi on z tych stron. Mieszkańcy Warszawy mówili niechłujnie: szybko i krzykliwie wypluwali z siebie kolejne wyrazy, które zlewały się w jedną całość. Tymczasem mężczyzna mówił powoli, melodyjnie i cicho. Zdawało się niemal, że każde wypowiedane słowo pieści językiem.

Mówił pięknie, wyglądał zaś, najłagodniej rzecz ujmując, nieciekawie. Jego skóra miała żółtawy, niezdrowy odcień. Ogromny zakrzywiony nos i siwe rozczochrane włosy nadawały mu wyglądu starego ptaszyska.

Starzec miał na imię Wojsznar i był Litwinem. Młodość zesła mu na wyprawach łupieżczych na Mazowsze. Na stare lata zmienił strony. Szukając spokoju, trafił do Warszawy i tu od kilku lat dowodził formacją miejskich cepaków.

- Zwołaj wszystkich na służbę - powiedział do podkomendnego. - Ze świtaniem zejdziecie nad rzekę - ciągnął. - Zróbcie tak, żeby nikt tam nie chodził, dopóki nie przybędę z wójtem. - Poślij też po medyka - dodał po chwili milczenia. - Najlepiej tego, co na Krzywym Kole ma pracownię. Być może będzie musiał udzielić komu pomocy.

Wojsznar spojrział w stronę rzeki, po czym splunął za wały.

- Chociaż nie sądzę, żeby miał dużo pracy - stwierdził.

Słońce nie sięgnęło jeszcze zenitu, mimo to prażyło niemiłosiernie. Skwar był okrutny, a bliskość rzeki pomagała niewiele. Duszne, gorące powietrze trwało w bezruchu, a czyste, bezchmurne niebo nie przynosiło nadziei na najmniejszy nawet podmuch wiatru.

Do tego wszystkiego dochodził jeszcze mdlący smród rozkładających się zwłok.

Stali we trzech w pobliżu miejsca masakry. Wójt Bartłomiej, Wojsznar i medyk Gaworek.

Wójt Bartłomiej, niewysoki, z beczułkowatym korpusem, krótkimi, serdelkowatymi nóżkami i z okrągłą rumianą gębą bardziej przypominał piekarza niż najważniejszego urzędnika Warszawy. Mimo tuszy, był niezwykle ruchliwy, energiczny i gadatliwy.

Bartłomiej miał głębokie poczucie misji. Jego celem było uczynić Warszawę największym i najważniejszym miastem Mazowsza. W mniemaniu wójta na to właśnie zasługiwało miejsce, w którym czterdzieści lat wcześniej odbył się sąd pomiędzy zakonem krzyżackim a Koroną Królestwa Polskiego. Sąd, którego rozstrzygnięcia oczekiwał cały chrześcijański świat! Czyż to nie jest wystarczający dowód na znaczenie i rolę miasta, którym zarządzał? "Sto i pięćdziesiąt domostw i sześć ulic dziś, sześćdziesiąt ulic i tysiąc domostw już jutro" – podśpiewywał pod nosem wójt, zwykle wtedy kiedy miał dobry humor.

Ale teraz nie miał ochoty na śpiewy. Jego uwagę zaprzętały rozszarpane, porozwłózione po brzegu Wistli zwłoki. Najpewniej kochanków, bo po oględzinach udało się stwierdzić, że jedno z ciał należało do młodego mężczyzny, drugie do dziewczyny.

- Miłosne uniesienia, w ciepłą majową noc, przy księżycu, z dala od zgiełku Warszawy – sapał do siebie niezadowolony Bartłomiej. Nie potrzebował tego kłopotu.

Po prawej ręce wójta stał Wojsznar. Wyprostowany, skupiony, wodził wzrokiem po okolicy.

„Tylko na trupy nie patrzy”, pomyślał wójt, ocierając czoło. Pocił się obficie i w tej chwili przeklinał w duchu potwora, kochanków, miłość, upał, rzekę i wszystko.

Przywódca miejskich cepaków wydawał się w ogóle nie zauważać morderczego gorąca. Nawet najmniejsza kropelka potu nie perliła się na jego twarzy, co jeszcze bardziej drażniło Bartłomieja.

Pod drzewem w cieniu stał Goworek, medyk z Nowomiejskiej. Drugi medyk mieszkający w Warszawie, przy ulicy Krzywe Koło, przebywał w podróży.

Goworek był niewysokim, przygarbionym, łysym dziaduniem o wiecznie przyklejonym do twarzy dobrotliwym uśmiechu. Mówił niewiele, często za to przytakiwał, a kiedy się akurat nie uśmiechał, mlaskał i mełł coś w ustach.

Znajdowali się na północ od wałów miejskich. Droga na miejsce mordu zajęła im jakieś dwa pacierze.

Cisza stawała się nieznośna, wójt przestępował więc z nogi na nogę. Następnie przełknął ślinę, odchrząknął i zapytał, spoglądając na ludzkie szczątki:

- Czego wychodzili, jak wiedzieli, że nie można?

Wojsznar wzruszył ramionami.

- Miłość. Chuć. - Medyk pokiwał głową, po czym głośno mlasnął.

- A na tę bestię nie ma jakiego sposobu? - zmienił temat wójt. - Idzie, że od zimy zeżarła ośm osób - dodał, po czym wytarł wierzchem rękawa spocone czoło. Po chwili namysłu stwierdził także: - Ośm osób, w tym dwie praczki, co z ubraniami nad rzekę zeszyły.

Po kolejnej pauzie wójt popisał się talentem w zakresie rachunków. - To więcej niż osoba na jeden księżyc, panie Wojsznar. Nie ma jakiej rady na tę... - wójt skrzywił się na samą myśl o maszkarze - syrenę...? Panie Wojsznar?

Wójt nie lubił syreny. W jego mieście, w jego świecie, nie było miejsca dla żadnych syren. Nie było też miejsca dla smoków, zaginionych księżniczek, relikwii, czarnoksiężników, bazylijszków ani innych mitycznych stworów i bohaterów. Warszawa to było porządne, dobrze zarządzane miejsce. Wójt nie chciał tu żadnych cudaków.

Z zadumy wyrwał go głos starego Litwina:

- Trza ją ubić, panie wójcie. Mówiłem nie dalej jak miesiąc temu, że potrzebuję ze dwa tuziny łuczników i trzy dziesiątki piechurów... wtedy damy potworowi radę.

- Radę, radę - zezłościł się Bartłomiej. - A skąd ja wezmę pieniądze na taki zaciąg? E? W skarbcu pustki! - dodał, energicznie gestykulując.

- W takim razie potwór dalej będzie zżerał ludzi - podsumował Wojsznar.

- Zżerał, zżerał... - powtórzył jak echo Bartłomiej. - Zrozumcie, że w tym mieście nie ma syren! Nie ma! I już! - wybuchnął wójt.

Zdenerował się tak bardzo, że zaczął chodzić w kółko. Przy czwartym lub piątym okrążeniu wszedł w coś czerwonego i miękkiego. To coś nieprzyjemnie mlasnęło pod butem. Z jękiem obrzydzenia wójt zaczął trześć podeszwą o trawę, chcąc jak najszybciej pozbyć się szczątków.

Nagle znieruchomiał i po chwili milczenia rzucił w stronę towarzyszy: - A gdyby maskarę podtruć! Jak tego smoka pod Wawelem. E?

- Nie da się. - Medyk pokręcił głową. Następnie mlasnął, cmoknął i dodał: - Smok to jest istota bezrozumna, jaszczur. A ta syrena to je humanoidalny stwór. Znaczy się mądrzejszy. I na owieczkę się nie da nabrać.

- A na kukłę wypchaną siarką? - spróbował jeszcze wójt.

- Na kukłę też nie - stwierdził medyk.

- To co ja mam, do stu diabłów, zrobić? - mruknął rozdrażniony wójt. - W tym mieście nie ma... - zaczął, ale nie dokończył, bo przerwał mu zdyszany chłopak, który przybiegł od strony miasta.

Chudy, kasztanowłosy wyrostek potrzebował chwili, żeby złapać oddech. Kiedy odpoczął, wystękał.

- Panie wójcie...

- Czego? - huknął zniecierpliwiony czekaniem zarządca grodu.

- Panie wójcie... Litwini... idą.

Wójt Bartłomiej pobladł i zupełnie zapomniał o syrenie.

Bartłomiej spoglądał na wstęgi dymu na horyzoncie. Litwini musieli spalić Czerniakowo, Czarnów, Zawady. Płonęły także należące do szlacheckich rodzin wsie Milanów i Służewo. Wójt na chwilę odczuł coś na kształt zadowolenia. Nie lubił mazowieckich panków, obnoszących się ze swoją ważnością i bogactwem, dlatego cieszył się, gdy któremu z nich działa się krzywda.

Stali z Wojsznarem na wałach okalających miasto. Wójt patrzył z niepokojem na umocnienia chroniące Warszawę. Na tę ziemno-glinianą konstrukcję. Przeklinał się w duchu za to, że nie posłuchał Wojsznara i nie kontynuował przebudowy murów miejskich. Jedyny murowany fragment fortyfikacji znajdował się na wysokości kościoła świętego Marcina, nieco na północ od miejsca, gdzie

stali. A Litwini nie byli chyba na tyle głupi, aby uderzyć właśnie z tamtej strony.

- Dwie setki ludzi - ocenił Wojsznar, spoglądając na oddział, który rozbił tymczasowy obóz na południowy zachód od miasta. - Oby nie było ich więcej w okolicy - dodał. - Lekka jazda. Pojawiają się nagle, grabią, co się da, i znikają. Wtedy szukaj wiatru w polu - splunął, a po chwili dopowiedział. - Takeśmy walczyli przeciwko królowi Kazimierzowi na Rusi Halickiej. Tak walczyły też oddziały, które trzy zimy temu pod wodzą Kiejstuta, Jagiełły, Witolda i Lubarta spustoszyły ziemię sandomierską i doszły aż pod Tarnów.

- Zaatakują? - zapytał wójt.

- Zaatakują - potwierdził Litwin. - W każdym razie ja bym zaatakował. Z takimi siłami, jakie mamy, damy im odpór na pacierz może.

Litwin zamilkł na chwilę.

- Będą szarpać. Szukać luki w naszej obronie - kontynuował. - Miejsca, przez które będzie się im najłatwiej przedrzeć. Przy okazji sprawdzą też nasze siły. W razie zacieklego oporu wycofają się i pojadą dalej.

Wojsznar znów zrobił pauzę, po czym rzekł. - A mówiłem, wójcie, żebyście umacniali wały miejskie. Żebyście je murowali - dokończył.

- Murowali, murowali - zdenerwował się Bartłomiej. - Murowanie kosztuje - dokończył piskliwie. Wyrażnie się bał.

- Ciekawie, ile kosztować będzie odbudowa całego miasta - mruknął Wojsznar.

- Może poddam miasto? - zaproponował wójt.

Litwin parsknął śmiechem. Śmiał się długo, a kiedy już się opanował, spytał: - A po co? Oni tu są po łupy. I tak zabiorą wszystko. A czego nie będą mogli zabrać, spalą. Możecie poddać Warszawę albo nie. Efekt będzie taki sam.

- A może książe pan zdąży z posiłkami? - zapytał wójt.

- Nawet jeśli ruszył, to nie wiadomo, na kiedy zdąży. Zostaliśmy sami, wójcie - odparł Litwin.

Czerwone słońce chowało się za horyzontem. Zbliżała się noc.

Im dłużej wójt Bartłomiej spoglądał na obóz Litwinów, tym większa rezygnacja go opanowywała. Zdawało mu się, że zbrojnych jest coraz więcej i więcej. Zupełnie jakby wychodzili spod ziemi. Wiedział oczywiście, że to niemożliwe, że to tylko złudzenie, wynik zmęczenia i strachu. Litwini nie mogli się magicznie mnożyć, bo w świecie wójta Bartłomieja nie było przecież miejsca na magię.

I wtedy do uszu wójta i przywódcy miejskich cepaków dotarł ryk. Taki sam, jaki cała Warszawa słyszała wczorajszej nocy. Ryk syreny.

Potem potwór ryknął ponownie.

W obozie zapanowało poruszenie. Litwini krzyczeli, próbowali opanować spłoszone konie, które wierzgały, kwiczały i rżały niespokojnie.

Potwór ryknął po raz trzeci. I z powietrza uderzył na obóz zbrojnych.

Zaczęła się rzeź.

Tej nocy w Warszawie nie było ani jednej osoby, która zaznała choćby chwilę odpoczynku. Odgłosy walki ustały dopiero przed świtem. Ryki bestii, krzyk mordowanych ludzi i kwik przerażonych zwierząt zastąpiły po wschodzie słońca jęki konających w męczarniach, płacz pokonanych, zawodzenie wykrwawiających się ofiar potwora.

Nie było mieszkańca miasta, który nie słyszałby tego, co działo się za wałami. Słyszał to także wójt Bartłomiej, który znaczną część nocy przeleżał płackiem w kościele parafialnym przy Świętojańskiej. Wójt nie był nazbyt religijny, uznał jednak, że pojednanie z Bogiem w obecnej sytuacji nie może mu zaszkodzić.

Do południa nad polem walki zapadła grobowa cisza.

Bramy miejskie otworzono dopiero następnego dnia.

Trupy ludzkie i końskie ułożyli w stosy i spalili na polu bitwy. Medyk z Nowomiejskiej radził zająć się szczątkami jak najprędzej. „Aby nie było zarazy” – podkreślał, uśmiechając się przy tym dobrotliwie. Spoglądając na ciągnące się wysoko ku niebu słupy czarnego dymu, wójt Bartłomiej zastanawiał się, czy na starość będzie równie irytująco beztroski co skretyniały Goworek.

Trupa syreny znaleźli nad rzeką, niedaleko, najwyżej cztery pacierze wolnym krokiem od miejsca bitwy. Na ciało potwora trafili po śladach krwi. Ciemnobrunatne, śmierdzące, tłuste krople razem z życiem, wyciekały z cielska monstrum.

Łuskowaty smoczy tułów syreny zakończony był ptasimi szponami. Błoniaste skrzydła stanowiły granicę oddzielającą cielsko zwierza od ludzkich części ciała. Męski tors oraz normalnej długości ręce i dłonie pokryte były łuskami, ciało wieńczyła głowa z ludzką twarzą. Na twarzy tej zastygł wyraz bezrozumnej nienawiści.

Nawet martwa syrena budziła grozę. Wójt Bartłomiej przezornie stał w pewnej odległości od miejsca, w którym spoczywała bestia. Nerwowo przestępował z nogi na nogę, spoglądając, jak drużyna cepaków pod wodzą Wojsznara trąca i poszturčuje trupa.

Droga z Warszawy do Czerska wiedzie na południe, wzdłuż rzeki Wistli. Konno można ją pokonać w pół dnia.

Wójtowi Bartłomiejowi podróż w tym kierunku zawsze psuła humor. Warszawa w żadnym stopniu nie mogła równać się z Czerskiem, sercem Mazowsza, politycznym i kościelnym centrum dzielnicy. Tutaj znajdował się archidiakoniat biskupstwa poznańskiego, stąd także władzę sprawowali książęta mazowieccy.

Czersk był większy od Warszawy. Po ulicach przechadzało się więcej ludzi, a tutejsi mieszczanie i kupcy byli zamożniejsi niż mieszczanie i kupcy z jego miasta. Domy, choć jak wszędzie drewniane, tu były o wiele ładniejsze niż w Warszawie. Gospody przytulniejsze, jedło smaczniejsze. Ludzie zdawali się szczęśliwsi i bardziej życzliwi, ubierali się lepiej, bardziej kolorowo. Dzieci wyglądały na mniej brudne i krzykliwe, dziewczki bardziej urodziwe, a kurwy czystsze niż te zarobkujące w leżącej

nieopodał Warszawie.

Wjeżdżając przez miejskie bramy, wójt Bartłomiej spoglądał na dominujący nad okolicą zamek. Budowla położona na wzgórzu, symbol władzy i potęgi Piastów mazowieckich, została wzniesiona dwa wieki wcześniej. Kasztel pobudował najprawdopodobniej Bolesław Szczodry albo Władysław Herman, wójt Bartłomiej nigdy nie pamiętał, który ze szlachetnie urodzonych panów ufundował tę budowlę. Bartłomiej życzył sobie jednak z całego serca, żeby zawaliła się ona z ogromnym hukiem, grzebiąc i niszcząc przy okazji całe to parszywe miasto. „Wtedy! O tak, wtedy Warszawa stałaby się prawdziwym skarbem Mazowsza!”, myślał wójt.

Niestety, koleje losu zdawały się nie sprzyjać marzeniom Bartłomieja. Mówiło się, że drewniany zamek wkrótce zostanie przebudowany, że nad miastem górować będzie imponująca murowana konstrukcja. Takie plany miał dziedzic ziemi czerskiej, syn księcia Siemowita III, książę Janusz. Plotka ta była źródłem nieustannej udręki wójta. Jego zdaniem przekreślała szansę na to, że książę kiedykolwiek zainteresuje się leżącą nieopodał i zyskującą przecież na znaczeniu Warszawą.

O wszystkim tym wójt przestał myśleć, gdy tylko przekroczył bramę zamku i wjechał na dziedziniec. Teraz przyszedł czas, by zdać księciu relację z wydarzeń ostatnich dni. Zajść, o których gadano już na całym Mazowszu.

Janusz, Piast mazowiecki, syn Siemowita III i Eufemii Opawskiej, pan i dziedzic ziemi wyszogrodzkiej, ciechanowskiej, warszewskiej, nurskiej, zakroczymskiej i liwskiej tylko z wyglądu przypominał ojca, wojowniczego, gwałtownego księcia, który zjednoczył Mazowsze. Podobnie jak rodzic, był Janusz niewysoki i chudy. Podobnie jak Siemowit miał trójkątną, szczupłą twarz porośniętą gęstą, czarną brodą. Z charakteru był jednak książę całkowitym przeciwieństwem ojca. Po pięciu latach sprawowania rządów w wydzielonej mu dzielnicy, mówiło się o Januszu, że jest człowiekiem przezornym i obrotnym, korzystającym z pojawiających się okazji. Swoją polityką starał się nie szkodzić poddanym, nie palił się do wojaczki. Unikał też marnotrawienia pieniędzy, niepotrzebnej rozrzutności i rozdawnictwa dóbr.

Władca przyjął wójta w jednej ze swoich komnat. Bartłomiej cieszył się z takiego obrotu sprawy, bał się bowiem, że podczas audiencji jego słowom mógłby się przysłuchiwać także stary książę Siemowit, którego wójt, najkrócej rzecz ujmując, brał za diabła wcielonego. Wybuchowy temperament starego Piasta budził w wójcie na przemian przerażenie, mdłości, ośpienie, pustkę w głowie, pocenie się dłoni i drżenie kolan. Tym razem na szczęście dla Bartłomieja żaden z tych objawów miał mu nie dokuczać.

- Powinniście wykorzystać tę sytuację, wójcie, obrócić ją na korzyść Warszawy - rzekł książę, kiedy Bartłomiej skończył opowiadać swą historię. - Pieniądzy na oddział zbrojny nie dostaniecie, bo waszą rzeczą jest w mieście rządzić, a nie wojaczkę uprawiać - ciągnął Janusz. - Zresztą rządzcie mądrze, dysponujcie skarbem odpowiednio, to i stać was będzie na zwiększenie drużyny drabów miejskich bądź na najęcie oddziału zbrojnych. To wasza rzecz.

Zapadła cisza. Książę zmarszczył czoło, zdało się, że coś rozważał. Wójt przestąpił z nogi na nogę i zaczerpnął powietrza, aby coś rzec.

Nie zdążył, bo władca wstał ze swego siedziska, gestem nakazał Bartłomiejowi milczenie, po czym zaczął przechadzać się po sali, mówiąc jednocześnie do wójta:

- Powinniście wykorzystać tę... syrenę, wójcie. Jako symbol.

- Symbol, mości książe?

- A tak - symbol, Bartłomieju - potwierdził Janusz i przerwał przechadzkę. - Symbol - powtórzył to słowo po raz już trzeci. - Miastu teraz nic nie grozi, ale nie wiecie, kiedy znów się coś wydarzy. Nie wiecie, kiedy pod murami Warszawy pojawią się Tatarzy, zbóje, łupieżcze bandy, Krzyżacy, Litwini, Rusini... - książe zawiesił na chwilę głos. - Niebezpieczeństw, grożących miastu, jest wiele. Są także groźby wewnętrzne. Bunty, rozruchy, niezadowolenie rządzonych...

Książę spojrział na wójta i dokończył:

- Wywołane decyzjami rządzących.

Bartłomiej stał bez słowa i słuchał.

- Ale jest coś, Bartłomieju, co w złych czasach pomaga ludziom przetrwać. Coś, co sprawia, że wycierpią więcej, zniosą więcej. To coś pozwala także zapanować nad ludźmi. Sterować nimi. Domyślcie się, co to takiego?

Wójt pokiwał głową na potwierdzenie, chociaż po prawdzie nie wiedział, dokąd zmierza ta książęca przemowa.

- To symbole. Ludzie kochają symbole, Bartłomieju. Symbolem zaś może być wszystko. Rzecz, sytuacja, obraz. Opowieść, którą przekazujemy sobie z ust do ust.

- Syrena ma być więc symbolem, mości książe? - zapytał niespodziewanie wójt. - Czego?

- Warszawy, Bartłomieju! Dajcie temu miastu syrenę.

- Ale to potwór, panie! Maszkara! - ożywił się wójt.

- Minie pokolenie, dwa, i ludzie zapomną o syrenie, okropnym monstrum krzywdzącym ludzi - odpadł książe. - A zapamiętają symbol, jakimkolwiek go uczynicie, wójcie. Zapomną o ptasich łapach i łuskach smoka, zamiast tego pamiętać będą mityczną syrenę, pół kobietę, pół rybę, która tarczą i mieczem obroniła lud Warszawy przed najazdem Litwinów. Będą ją podziwiać, bo zadbacie o to, aby w mieście stanął pomnik upamiętniający jej przewagę. Będą ją oglądać na miejskich płaskorzeźbach i płótnach ulicznych malarzy. Będą słuchać o niej pieśni komponowanych przez ulicznych grajków. Będą z niej dumni. Będą o niej opowiadać krewnym, przyjaciom, znajomkom. A gdy przyjdą złe czasy, syrena da ludziom siłę, natchnienie i energię, aby przetrwać najgorsze.

Zapadła cisza, podczas której książe Janusz bardzo uważnie przyglądał się wójtowi.

Nie wiedząc, co czynić lub mówić, Bartłomiej wybrał bezpieczne rozwiązanie. Skinął głową na znak, że rozumie. Chociaż nie rozumiał.

- Zapamiętajcie dobrze to, co wam powiedziałem, wójcie. Przemyślcie to sobie - powiedział Janusz. - Co zaś się tyczy murów miejskich i ich kondycji, o której mówiliście...

Bartłomiej wyprężył się, wyprostował i czujnie nadstawił uszu. Bezwiednie wstrzymał oddech, czekając na kolejne słowa.

- Na to także nie dostaniecie pieniędzy z książęcego skarbcza - stwierdził książe.

Sylwetka wójta wyraźnie sflaczała.

- Jednak mury Warszawy zostaną rozbudowane. Powstanie drugi pierścień okalający miasto. Murowany, Bartłomeju. Dopilnujcie tego. Dopilnujcie, żeby tak się stało - powiedział Janusz. - A ja to sprawdzę - dodał.

- Ale... pieniądze - zaczął cicho Bartłomiej.

- Pieniędźmi się nie fraszujcie - odparł krótko książe.

- Ale jakże to... Skarbiec miejski pusty... skąd zdobyć pieniądź... - zaczął wójt, ale nie dokończył. Janusz Mazowiecki uciszył go gestem dłoni.

- Zwolnię miasto z wszelkich danin, podatków i ciężarów na czas potrzebny do wziesienia murów.

Bartłomiej ożywił się, wyprostował. Na jego twarz wystąpiły rumieńce. Myślał gorączkowo. Szacował, liczył. Ile będą kosztować fortyfikacje? Ile z pieniędzy przekazywanych do Czerska uda się oszczędzić i zachować... na inne cele? Na własne cele?

- To wielce szczerze, wasza książęca mość - skłonił się wójt. Zaczerpnął tchu, zrobił dramatyczną pauzę i dodał: - Boję się jednak, że to może nie wystarczyć. Czasy złe, bieda zagląda miastu w oczy - westchnął nazbyt teatralnie. - Kupcy omijają Warszawę, rzemieślnicy narzekają na brak klientów... - byłby kontynuował litanię, gdyby książe ponownie nie nakazał mu gestem milczenia.

- Na czas prac dochód z książęcych wsi w pobliżu miasta przekazany zostanie kasie miejskiej - powiedział Janusz.

Na policzkach wójta wykwitły jeszcze silniejsze rumieńce, oczy mu rozbłyły. Gdyby umiał, bez wątpienia fiknąłby kozła. Szybko jednak się opanował i postanowił jeszcze raz spróbować szczęścia.

- A gdyby tak...

Tym razem nie było żadnego gestu. Janusz powiedział po prostu: - Nie wystawiajcie mojej cierpliwości na próbę, wójcie.

I to był koniec rozmowy.

Po opuszczeniu Czerska, już na gościńcu wiodącym w stronę Warszawy, wójt Bartłomiej obejrzał się w stronę siedziby książąt mazowieckich i pokiwał głową z politowaniem.

- Biedny ten Czersk. Co to za siedziba książęca! - prychnął. - Bez dwóch linii murów! Co to przy Warszawie! - zakończył monolog, pokrzykując i energicznie gestykulując. Chłop jadący akurat w przeciwną stronę na wozie pełnym beczek przyglądał się ciekawie całej scenie. Droga była nudna, a wrzeszczący na gościńcu podróżny to rozrywka lepsza niż patrzenie przez cały boży dzień na koński zad.

Wójt poczuł się głupio, machnął ręką na chłopca. Zły, że zrobił z siebie widowisko, popędził konia, a dalsze rozważania prowadził już ciszej. Gadał sobie pod nosem. - Jeśli dobrze rzecz poprowadzę, oszczędnie, to skorzysta na tym miasto... - zamyślił się na chwilę. Uśmiechnął się do swoich myśli. Do swej bajecznej przemyślności i niezwykłego, niezziemskiego sprytu, który pozwolił mu sterować księciem Januszem! Szlachetnie urodzonym pankiem! On, zwyczajny, choć mający łeb na karku mieszkaniec Warszawy, tak łatwo namówił Janusza Mazowieckiego na odstąpienie miastu przychodów z książęcych wsi! Kto wie, może za jakiś czas Czersk zapomni o swoim majątku?

- Więc jeśli dobrze rzecz poprowadzę... Oszczędnie i z głową, to skorzysta na tym miasto i może... może... - na twarzy wójta wykwitł chytry uśmieszek. - Może i uniżony książęcy sługa Bartłomiej... za pełną poświęcenia służbę i pracę na rzecz grodu... także zyska coś dla siebie?

- A co z tą syreną? - zafrasował się na chwilę. - Książęce wymysły! Pomniki, symbole, bohaterskie czyny! - sapał wściekle. - Psiamać! Żadnych jasełków urządzać nie będę! - postanowił na głos. - Choć z drugiej strony, nie warto się chyba na książęcą niechęć narażać. Może... może - dumał. - Może jak już wszystkie sprawy załatwię, to jakiś pomniczek się postawi? Ha! Zobaczmy! - zdecydował wreszcie.

A potem wrócił do przyjemniejszych myśli. Pogwizdując skoczną melodyjkę, jechał traktem w stronę Warszawy. Obmyślał plan drugiej linii murów miejskich okalających miasto. Jego miasto.